

Teatr Warszawski w Londynie

2

Przedstawienie fredrowskiego „Męża i Żony“ w reżyserii Bohdana Korzeniewskiego, w wykonaniu kwartetu artystów „Teatru Polskiego“ pod nieśmiertelną dyrekcją Arnolda Szyfmana, jest jednym z tych zachwycających przedstawień, które na zawsze zostają w pamięci widza i w miarę jak czas upływa, coraz jeszcze pięknieją, tak jak w mojej pamięci wypiękniał dawny lwowski „Pan Jowialski“ z Fisterem i Gostyńską, Feldmanem i Jasiem Nowackim. Może za pięćdziesiąt lat któryś z naszych podrastających będzie mówił swoim wnukom: Ja widziałem Romanównę jako Elwirę! Kreczmarową w roli Justys! Starego Mileckiego! Wiecie gdzie? W Londynie!

„Mąż i Żona“, raczej krotoczwila niż komedia, nie jest, wśród arcydzieł Fredry, klejnotem pierwszej wody. Język gźdzeniących będzie tylko zdobywa się na wspinała, rytmiczną lapidarność „Zemsty“. Winna tu zapewne niefortunna kombinacja wiersza jedenastozgłoskowego naprzemian z ośmiozłoszkowcem, te dwa rodzaje rytmów źle się z sobą godzą. Charakteryzacja czterech postaci krotoczwili jest charakteryzacją typową, nie — jak w „Ślubach Pannieńskich“ — żywych ludzi. To nie jakaś Elwira, czy Justysia, jakiś prawdziwy Waclaw, czy Alfred występują na scenie, ale ich lalki, zabawne kukielki trzepocące na sznurkach poetyckiej zręczności, to „Żona“, „Mąż“, „Kochanek“ i „Subretka“, ta ostatnia najbardziej fikcyjna, w gotowej formie przejęta z mawiodaży paryskiego, panna służąca, całowana przez panów po rączkach, mówiąca tym samym co oni językiem, nawet po francusku, gdy to do intrygi potrzebne. Elwira i Justysia, to jakby Albin i Gustaw ze „Ślubów“, tylko że w spódnicach i w ogóle jeszcze w szkicu.

Cóż to jednak za poeta, ten Fredro, co za majster, jaki komediopisarz, skoro jego „druga kla-

sa“ jest tak wybournym materiałem scenicznym, tak świetną kanwą do petit-point'ów reżyserii i aktorstwa.

W myśl szyfmanowskiej tradycji „Teatru Polskiego“, przedstawienie podane jest w ślicznych kostiumach, na tle czarującej dekoracji — poklask za to należy się p. Zenobiuszowi Strzeleckiemu — przede wszystkim jest jednak tryumfem reżyserskim p. Bohdana Korzeniewskiego. Jestem z prawdziwym podziwem dla jego sztuki, dyskretnej, czuwającej w cieniu, każdej chwili, we wszystkim obecnej. Jedna n.p. scena rozmowy dwu mężczyzn siedzących przy stole, jaka żywa, jak rozpracowana na ćwierć-gesty i ćwierć-ruchy, zdawało by się, że to nic, że to tak samo układa im się w tej chwili, w tej rozmowie, a to zapewne owoc wielu tygodni precyzyjnych prób, małe arcydzieło reżyserskiej pomysłowości. Chyba ani jeden dowcip tekstu nie został zagubiony, a wiele drzemających w tekście reżyser o-budził i wyłuskał. Kiedy w trzecim akcie, po całym kontredansie wzajemnych niewierności, mąż mówi do Elwiry „Żono...“ brzmi to tak zabawnie, że widownia w mig chwyta dowcip jednego słowa. Jest w tym zasługa i autora i reżysera i aktora i widowni. Oczywiście, oddając pierwszy ukłon reżyserowi, nie chcę nie ująć z zasługi aktorskiego kwartetu, przeciwnie, tylko z dobrymi aktorami można być dobrym reżyserem.

Królową przedstawienia jest Janina Romanówna. Po jej wielkiej „scenie“ w drugim akcie, po tej wirtuozerskiej arii koloraturowej, publiczność na premierze wyprawiła jej wielominutową owację, która, jak to podniósł recenzent „Timesa“, omal nie zmusiła primadonny do bisu. Znako-mity, jak to już wczoraj zanotowałem, był Mieczysław Milecki. Jeśli w górze, w kulisach, unosił się nad nim duch Juliusza Oster-

wy, to chyba dumny był z ucznia. W roli subretki, pani Justyna Kreczmarowa z miejsca przypadła naszej publiczności do serca. Miała lekkość, elegancję i precyzyję mozartowskiej Zuzanny. Z jej urodą, trochę boecklinowską, bardzo jej do twarzy. Przyznaję, że w tym kwartecie słabszy o jedno oczko, zwłaszcza w pierwszym akcie, wydał mi się p. Czesław Wołłejko. Jest aktorem młodym, przystojnym, bardzo sympatycznym, ale zbyt często jeszcze nadrabiał gierkami i gotowymi minkami i gestami. Może tym sposobem, w pierwszym akcie, walczył z tremą, bo prawda, że potem był coraz lepszy. Pójdę na ten spektakl jeszcze parę razy, to się przekonam.

Wyszedłem z teatru rozmarzony nie tylko spektaklem i przeżyciami, ale jeszcze raz w życiu autorem „Męża i Żony“. Jakże to szczęście, że literatura polska nie składa się z samych Wyzwoleń, Dziadów Królów, Duchów, Księciów Niezlomnych, Irydionów, że do tej świątobliwej parafii należy także z gruntu niemoralny, zachwały, bezbożny Mąż, jego grzeszna Żona, jej cyniczny Kochanek i Justysia, chodząca „moral insanity“ i że oni wszyscy tacy zabawni, przyjemni i tacy wśród nas na miejscu. Wywodzą się w prostej linii z polskiego Oświeceni, z wieku osiemnastego, przeszkożyli romantyzm, który ich nienawdził, tak jak oni jego. Nie odczuwają potrzeby skruchy, pokuty, patriotyzmu i martyrologii. Ani przez chwilę nie są pornografiami, bo pornografia to niemoralność, która sama siebie bierze na serio, a oni kpią z siebie i z nas, z grzechu i z enoty razem. Na grobie Fredry ktoś powiedział o nim, że „uratował Polskę od melancholii“. Nie wiem, czy to trafne powiedzenie. Polscy nigdy nie grozili i nie grozi melancholia, ale zawsze groziła jej i grozi szmira. Czy Fredro uratował Polskę od szmiry? Na jeden wiecior.

Nazajutrz „Teatr Polski“ dał „Dom Kobiet“, sztukę Zofii Nałkowskiej. Dekoracja p. Strzeleckiego znowu była śliczna, obsada aktorska budząca podziw i cześć.

Cieszyłem się, że odnowię znajomość z tą sztuką, której premierę oklaskiwałem w „Teatrze Polskim“, dwadzieścia kilka lat te-

mu. Wtedy, trzy sławne aktorki, Honorata Leszczyńska, Wanda Barszczewska i Wanda Siemaszkowa zęgnęły się w tej sztuce ze sceną, ze stolicą. Dziś pozwala nam ona przywitać siedem gwiazd warszawskich, którym przewodzi Mieczysław Cwikliński. Okazja bardziej jeszcze wzruszająca. Słucham sztuki, niestety, nie mogę się oprzeć zdumieniu.

Jest tak źle napisana, jej dialog jest tak nieodolny, taki dęty, miejscami prymitywny, taki w kółko Macieju — jak to możliwe, żeśmy tego wedy nie widzieli? Czy dlatego, żeśmy wszyscy byli z Nałkowską w przyjaźni? Czy nasze wzajemne połażanie było aż tak karygodne, nasza parafianka zarozumiałość aż tak zaślepiła? To nie jest pytanie retoryczne, ja naprawdę nie rozumiem tej zagadki. Ktoś zauważył, że „Dom Kobiet“ postarzał się, jak niemodna suknia i dlatego śmiesz nas, miast wzruszać. To jednak nie całkiem tak. W niemodnej sukni można podziwiać dobrą robotę i materiał, choć krój jej wydaje się zabawny — tak, n.p. postarzała się „Hedda Gabler“, czy „Nora“, arcydzieła teatralnego rzemiosła. A ten „Dom Kobiet“ to zwyczajnie tandeta. Czy tylko myśmy się tutaj zmienili? Czy ci, co tę sztukę przywieźli z Kraju nie widzą jej wad? Czy im się to wciąż jeszcze podoba?

To bardzo ciekawe pytania. Podobno wybrano i wysłano do Londynu „Dom Kobiet“ w wyniku pośpiesznej improwizacji, czy też decyzji „w ostatniej chwili“. Więc takie rzeczy jednak zdarzają się w gospodarce planowanej? No, no...

Jak za „Męża i Żonę“ wypadło mi pochwalić reżysera przed wszystkimi, tak za „Dom Kobiet“ muszę do reżysera wnieść pierwsze pretensje. Panią Marię Wiercińską pamiętam, jako znakomitą recytatorkę wierszy, wiem o jej zasługach i sukcesach reżyserskich — czemu nie określiła tekstu, czemu nie powierzyła komu z pisarzy, aby wypieili nieustannie powtarzania, aby dialog jakoś poprawił, wycyścił, uszczelnil, odnowił, ja sam zrobiłbym to w dwie doby. Mimo wszystko warto by zrobić taki remont, bo dialog najbardziej szkodzi sztuce, a szkoda — jako „wehikuł“, który przewozi nam Cwiklińska, Munc-

lingrowa, Broniszówna, Lindorfnę, Życzkowska, Lubięńska i Sokołowska, Kreczmarowej nie licząc, „Dom Kobiet“ staje się bardzo pożądanym omnibusem. Nie wątpię też, że po remonte od razu poprawiłoby się tempo.

Londyn ma dziś najlepszy na świecie teatr naturalistyczny. Na scenach i w telewizji stworzył precyzyjny, opływowy, nowoczesny styl grania takich sztuk, jak „Dom Kobiet“. Nie nasza wina, żeśmy się mimo woli tego stylu natpatrzyli i z nim osuchali i zbyt często nie możemy się zgodzić z interpretacją i tempami p. Wiercińskiej.

Ale powiem szczerze: Ja bym na gorsze sztuki poszedł, po parę razy, byle przywitać taki komplet aktorski. Gdybym mieszkał w hostelu, poza Londynem, tuktłbym się całą noc autobusem, żeby jeszcze raz w życiu uderzyć im brawo. Może, zachęcona tak, następnym razem przyjadą z „Moralnością“ Pani Dulskiej?

Nałkowska nie dała swym wykonawczyom wielkiego pola do popisów. Każdej roli wyznacza jeden motyw i jeden ton od początku do końca taki sam. Najlepiej wychodzi na tym p. Cwiklińska, jej rola jest ciepła, słoneczna, pieśczioliwa, pozwala jej być sobą, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Najgorzej przypadło p. Życzkowskiej, świetnej aktorce w monotonnej roli. Ilekroć która z pań miała okazję do wbiacia zębów w kawałek żywej roli, od razu pokazywała lwi pazur i lwi kiel. Tak n.p. było w jednej kapitalnej scenie Broniszówny, tak było z Lindorfną i Lubięńską, Munclingrową, Kreczmarową i Sokołowską. Nasza publiczność nie przepuściła ani jednej okazji do chętnych, rzęsiwych i gorących oklasków.

Oklaskami witała wszystkie panie, oklaskami odprowadzała je ze sceny, każdej chwili widziła za niemi serdecznymi oczyma, po ostatniej kurtynie ustawiła wokół nich cały ogród kwiatów. Jakby chciała im wynagrodzić niedostatki tekstu i ról, i cierpienia okropnej tremy, która szalała za kulisami i o której wszyscyśmy wiedzieli, bośmy taką samą tremę przechodzili na widowni.

Coś jeszcze chciano oklaskami wynagrodzić naszym gościom. Ale to już nie należy do teatralnej recenzji. Ja o tym może osobno...